



## Rynek krakowski

Król Bolesław Wstydlivy założył miasto Kraków, u stóp wawelskiej skały obronnej, na miejscu istniejącej od dawna, ale w r. 1241 spalonej przez Tatarów gminy.

Zakładając miasto, Bolesław Wstydlivy wyznaczył kształt i wielkość rynku oraz rozgałęziających się z niego jedynastu ulic. I to centrum Krakowa od owego czasu nie uległo zmianie.

Rynek krakowski, to największy rynek ze wszystkich staromiejskich europejskich rynków — pomieścić może 20 tysięcy ludzi.

Zrozumiałym jest jego obszar, jeśli weźmie się pod uwagę jaki olbrzymi handel odbywał się na jego terenie.

Kraków był skrzyżowaniem dróg handlowych, biegnących z północy na południe Europy, ze wschodu na zachód.

Istniało takie prawo, że każdy przyjezdny kupiec mógł sprzedać swój towar jedynie kupcom krakowskim, ci dopiero mogli odsprzedać go kupcom zagranicznym. Łatwo więc sobie wyobrazić jakie na rynku krakowskim odbywały się zjazdy, jakie targi i jak dużego trzeba było terenu, aby towar móc rozłożyć i pokazać.

Najważniejszym towarem w wiekach średnich było sukno.

Bolesław Wstydlivy wystawił tedy na środku rynku składy, służące do przechowywania sukna. Wtedy były one prawdopodobnie drewniane. Później wielokrotnie przebudowywano je i powiększano. Ale do dziś pozostały one w tym samym

miejscu, gdzie wystawił je król Bolesław i pomimo, że obecnie służą do handlu różnymi przedmiotami i w dalszym ciągu noszą swoją starą nazwę Sukiennic. Budynek ten jest bardzo duży: wzdłuż liczy około 175 kroków.

Oprócz Sukiennic znajdowało się na rynku jeszcze wiele innych bud, kramów, jatek. Poszczególne części placu różne nosiły nazwy, zaleźnie od tego, co na nich sprzedawano. Był więc targ rybny, węglowy, żelazny, chlebowy itp.

Mieszczañstwo krakowskie szybko bogaciło się na handlu, tym samym potężniało miasto. Mały kościół parafialny, nie mógł wystarczyć wiernym.

Zbudowano tedy z funduszów mieszczañstwa piękny kościół Mariacki o dwóch nierównych wieżach, przepięknej roboty.

Z wyższej wieży rozlega się co godzinę hejnał.

Na rynku jest jeszcze kościół św. Wojciecha, wystawiony, jak mówi legenda, w miejscu, gdzie św. Wojciech nauczał lud nowej wiary. Stoi tam również wieża dawnego ratusza. A w ubiegłym stuleciu postawiono pomnik Adama Mickiewicza.

Na rynku odbywały się wielkie uroczystości narodowe: tu nowemu królowi składano, hold i zaprzysiężenie, tu książę pruski oddawał w lenno Zygmuntovi I-mu swe ziemie, stąd wyruszył Jan Sobieski na odsiecz Wiednia, tu składał swą przysięgę Kościuszko i stąd wyruszyły pierwsze szeregi wojska polskiego — legiony pod wodzą Józefa Piłsudskiego.

Z. R.

## Jaś i Staś — dwaj przyjaciele

Jasia i Stasia zawsze widywano razem. Razem chodzili do szkoły, siedzieli w jednej ławce — razem niestarannie i na łapę capu odrabiali lekcje i razem płatali najróżniejsze figle. Z niezwykłych pomysłów znali chłopców wszyscy sąsiedzi. Zwykle mieli pomysły wesole i dowcipne a figle ich bywały zupełnie niewinne i nikomu nie przynosiły szkody. Wtedy dorosli lajali Jasia i Stasia, ot tak, tylko z przyzwyczajenia, ale w końcu śmieli się i mówili, że bez Stasia i Jasia smutno byłoby w miasteczku.

Ale przyszedł taki czas, że figle chłopców przestały być wesole i dowcipne — zaczęły zaś być złośliwe i niemile. Zaczęło się od historii z ogrodnikiem.

Chłopcy byli źli na ogrodnika za to, że nie pozwalał im wchodzić do ogrodu. Ogródnik obawiał się, aby mu nie zrywali kwiatów i owoców.

Chłopcy postanowili zemścić się na panu Janie (tak się ów ogrodnik nazywał). Zakradli się więc pewnego dnia pod domek pana Jana, wczesnym rankiem, dzwigając kubeł pełen wody. Jaś wdrapał się na parapet okna, tuż obok drzwi wejściowych, a Staś podał mu ostrożnie kubetek. Jaś umieścił kubeł nad drzwiami na wystającym murku w ten sposób, że otwierane drzwi musiały o kubeł zaczepić.

Po wykonaniu tej wcale nietatwej pracy, chłopcy ukryli się w krzakach przy ogrodzeniu i czekali.

Bardzo niedługo drzwi się otworzyły i trzask — kubeł spadł, a cała woda wylała się na głowę pana Jana. Chłopcy w krzakach śmieli się cicho — pan Jan cały mokry ze złością rozejrzał się wokół. Krzaki nie były bardzo gęste — ogrodnik spostrzegł ukrytych chłopców.

— Ja wam dam, łobuzy — wykrzyknął — i pobiegnę w kierunku ogrodzenia.

Chłopcy spostrzegli się za późno. Zaczęli uciekać i chociaż biegli prędzej od pana Jana, ciągle im się zdawało, że już, już zostaną złapani. W dodatku ogrodnik narobił dużo hałasu, a biegnąc wołał:

— Łapcie łobuzów, trzymajcie nieponi!

Ludzie powychodzili z domów. Kilka osób pobiegło za chłopcami, ktoś zastąpił im drogę — ktoś Jasia złapał za rękaw. Jaś wyrwał się i niewiele myśląc z całej siły pchnął wielkie naczynie napełnione smołą, które właśnie przygotowywano do jakiejś roboty na środku ulicy. Smoła wylała się goniącym pod nogi.

Biednym ludziom nogi ugrzęzły w smole i nie mogli biec dalej. Chłopcy uciekali

śmiejąc się z bezradnego ogrodnika i jego pomocników.

Tymczasem całe miasteczko podążyło na pomoc przyklejonym do bruku łodziom.

A chłopcy, korzystając z zamieszania wbiegli do opustoszałej cukierni i rzucili się na ciastka. Pchali do ust po kilka naraz i z kremem i czekoladowe i z owocami. Na tym przylapał ich, powracający cukiernik.

I to nie miało im uść na sucho.

Zebrała się rada, na której czele stanął uwolniony już ze smół ogrodnik.

— Musimy jakoś ukarać tych urwisów — powiedział. Już dłużej nie można znieść takiego łobuzowania. —

I wtedy straganiarka przypomniała, że Staś i Jaś porwali jej kiedyś kapustę ze stragana.

A aptekarz powiedział, że na szybkiej wystawowej wymalowali mu kiedyś wieczorem czerwoną farbą ośła, a znowu właściciel restauracji opowiedział, jak to Jaś i Staś buntowali mu kuchcików.

Uśmiechnął się przy tym do aptekarza i coś mu szepnął na ucho.

Zaprowadzono więc chłopców nad rzekę — posadzono w małej łódce i puszczone na wodę bez wiosel.

Łódka odplynęła silnie odepchnięta od brzegu. Gdy chłopcy znaleźli się na środku rzeki zrobiło im się bardzo nieswojo. Staś zaczął płakać, a Jaś siłą powstrzymując łzy zawołał do stojących na brzegu.

— Wybaczcie nam — już teraz na pewno będziemy grzeczni, już nigdy, nigdy nie splejemy żadnego figla.

Wtedy aptekarz uśmiechnął się do ogrodnika i szepnął coś na ucho młodemu wysokiemu panu. Ten wraz z kilkoma chłopcami pociągnął długą, leżącą na brzegu linę i łódka ze Stasiem i Jasiem wolno podplynęła do brzegu. Chłopcy wysiedli i drząc z przeżytego strachu przeprośili ogrodnika i wszystkich tych, którym kiedykolwiek splełali niemylne figle.

Podobno od tego czasu stali się już grzeczni i przykładni. Nie wiem ile jest w tym prawdy, ile bajki — myślę, że z tą smołą to tylko fantazja Jasia i Stasia, bo oni sami opowiadali mi swoje przygody.

W każdym razie przejażdżka po rzece na pewno doskonale im zrobiła i oduczyła ich raz na zawsze od niemądrych psot. Musieli być jednak bardzo przerażeni i przejęci skoro nie zauważyli, że puszczone ich na linie. Jaś i Staś dwaj przyjaciele, zawsze tacy sprytni.

M. J.

# D U C H Y

Właściwie nie wiadomo od czego się to zaczęło, ani kto pierwszy powiedział, że w domu straszy. Jedno było pewne i wiadome: na górze, na drugim piętrze, obok stryżku coś się w nocy ruszało, ktoś chodził, czasem jechał lub zawodził.

Cały dziecięcy pensjonat był poruszony. Nauczycielka stanowczo twierdziła, że dzieciom się zdawało, lub po prostu się śniło, bo przecież żadnych duchów nie ma. A jednak wszystkie trzy: Stasia, Jasia i Marysia — które mieszkały w owym pokoiku — co rano prawie opowiadały niesamowite historie.

— Każdego prawie wieczoru — mówiła Jasia — ledwo zaśniemy, budzą nas jakieś dziwne szmery na strychu. Później ktoś stuka w ścianę, czasem ktoś śpiewa cicho. Czekamy zawsze bez ruchu, aż się to skończy. Ze strachu boimy się odezwać. Po jakiejś pół godzinie wszystko cichnie i tak od pewnego czasu co noc. Dawniej zdarzało się to rzadziej, ale teraz, to już codziennie.

Nauczycielka z początku nie chciała wierzyć dziewczynkom, w końcu na gorące prośby wystraszonej Stasi, Marysi i Jasi zgodziła się przenocować w ich pokoju, aby samej się przekonać, jak to z tymi duchami jest naprawdę.

Dziewczynki, spokojne, że ktoś nad nimi czuwa, a bardzo zmęczone po ostatnich, nieprzespanych porządnie nocach — zasnęły szybko.

Nauczycielka czuwała. Rzeczywiście po około pół godziny dały się słyszeć jakieś dziwne szmery. Dziewczynki obudziły się i przerażone usiadły na łózkach. Nauczycielka wstała.

Wtedy wolniutko, wolnusiętko otworzyły się drzwi i w progu stanęła niewysoka postać — cała w bieli:

Dziewczynki ze strachu pochowały głowy pod poduszki, a nauczycielka powiedziała:

— Jakoś mi ta tajemnicza postać wcale na ducha nie wygląda — i podeszła do drzwi.

Wtedy „duch” odwrócił się gwałtownie i uciekł, ale jego biała szata, która okazała się zwykłym prześcieradłem, zdjętym z łóżka, zaczęła się o klumkę i

„duch” pobiegł po schodach w samej kolorowej pyjamicie.

Nauczycielka zapaliła światło i w dole schodów zobaczyła właśnie kawałek tej kolorowej pyjamy — zbiegła szybko na dół i w drzwiach sypialni na pierwszym piętrze złapała „ducha”. Był to po prostu znany łobuz, Jurek.

Okazało się, że to właśnie on co wieczór zakradał się na stryżek i tam udawał ducha. Tego dnia po raz pierwszy postanowił ukazać się dziewczynkom. Nie wiedział, że nauczycielka będzie spała w ostatnim pokoju. I tak — ze straszenia nic nie wyszło. Jurek dostał odpowiednią burę i został nazajutrz ukarany. Ale z trzech przyjaciółek długo się jeszcze wszystkie dzieci w całym pensjonacie śmiały, że tak się dały nabrać i że uwierzyły w stachy.

Tak się oto ta historia z duchami skończyła i odtąd już noce były spokojne.

M. J.

## Kokoszka

Z jabłoni spadło jabłuszko  
I toczy się połą dróżką,  
Spotkało w drodze kokoszkę  
Niemłodą, lecz starą troszkę.  
Co to i światło ją ślepi  
i słyszy też nienajlepiej.  
Kokoszka powiada czule:  
„Chodź do mnie, ja cię przytulę,  
Zabiorę z sobą na miedzę,  
I kurkę z ciebie wysiedzę.  
Jabłuszko nie ma ochoty,  
Ale się zgadza — dla psoty.  
Kokoszka tedy — do jabłka  
Obraca je w swoich łapkach.  
I własną piersią ogrzewa,  
i ogrzewając, tak śpiewa:  
— „Leż jajo w mych ciepłych  
piórkach.”

Wylęgnie się z ciebie kurka!”  
A wiecie co dalej było?  
Jabłuszko nazajutrz zgniło.  
Zaś kurze wprost żyć nie dają.  
Ze jabłko wzięła za jajo.

Jan Brzechwa

# Świt w Oleandrach

Franek nie mógł spać, nie, chociaż mu kazali. Przywarował pod kołdrą, w ciemnym kącie pokoiku i udawał tylko, że śpi. Ale słuchał. I słyszał wszystko.

Przy stole siedziała matka, ojciec i starszy brat. Franek miał dopiero siedem lat — ale jego brat, Janek, miał już szesnacie. Jakże mu Franek zazdrościł!

Rozmawiali. A raczej ojciec mówił — a oni słuchali. Matka poplakaowała.

— Wszystko macie już przygotowane, pocerowane, spakowane — mówila.

— Dobrze — rzekł ojciec. — Nie płacz. Ciesz się!

— Ciesz się, mamo, jak my — dorzucił Janek.

Frankowi łzy płynęły do oczu. Ale nie z tego powodu, co matce. Nie. Matka oczywiście obawiała się tylu różnych rzeczy, bo to mąż i syn idą na wojnę przecież. I w takich specjalnych warunkach!

Ale Franek płakał z innego powodu. Ze on — nie mógł... Wyśmiali go, gdy powiedział, że też pójdzie. Może nie wyśmiali — bo ojciec wprawdzie roześmiał się, ale zaraz wziął go na kolana i pocałował w czoło.

— I na ciebie kiedyś przyjdzie kolej — rzekł mu — ale ty już może będziesz walczył za wolną Polskę — nie dopiero, jak my, o jej wolność...

Ale Janek — to się śmiał po prostu.

— Idźcie, ty żgaczu — rzekł — takich smarkaczy do Legionów nie biorą!

I Franek płakał teraz, udając, że śpi — bo mu spać kazali.

— Skoro świt — swit w Oleandrach — mówił ojciec. — Skoro świt — odmarsz — z Nim, z Komendantem...

Długo słuchał Franek słów ojca i żalu matki — aż zasnął. Ale nie spał długo tym snem gorączkowym dziecka, snem, przed którym nie miał siły obronić. Zbudziły go kroki, głośne słowa. Zerwał się na posłaniu.

Ojciec i brat stali gotowi. Żegnali się z matką. Potem ojciec podszedł do łóżka Franka — a Franek bezwiednie zamknął oczy i znów udawał, że śpi: poczuł ojcowską dłoń na głowie.

Takie było pożegnanie. Wyszli — matka za nimi.

I wtedy Franek zerwał się, narzucił ubranie w szalonym pośpiechu — i wybiegł z mieszkania. Pędem do bramy.

Tam — na prawo od schodów głos matki — rozmawia z kimś — aha, z dozorczynią.

Po cichu, ukradkiem — szust na ulicę. Nie widziała go.

Długa droga jest na Błonia w tym szarym, chłodnym świetle sierpniowym. Ale Franek, dopinając jeszcze guziki bluzki, pędzi, jak strzala. Przystaje na chwilę — łapie dech — i znów dalej...

Zna tę drogę tak dobrze. Ileż razy tędy chodził na Błonia, do parku Jordana — by z kolegami bawić się tam, grać w piłkę, odbywać konkursy na ślimaczniicy.

Bięgl. Pusto było na ulicach, Kraków spał jeszcze. Gdzie — niegdzie tylko pojawiali się pierwsi przechodnie. Albo ci, którzy po zabawie wracali chwiejnym krokiem do domów — albo ci, którzy już teraz wyjść musieli, by zdążyć do pracy.

Główną ulicą powoli jechał beczkowóz zaprzężony w dwa konie — leniwie tryskała woda na zakurzony bruk. W innej znowu ulicy przystanął przed dużą bramą „smok” do zabierania śmieci, wysypywanych do jego olbrzymiego wnętrza z podwórzowych pak. Ukazali się też na jezdni tu i tam pierwsi zamiatacze.

Planty oddychały świeżym powietrzem poranka, który wstawał powoli nad uśpionym miastem. Uderzyły nagle dzwony: biła jakaś godzina. Po trzy uderzenia popłynęły nad miasto — trzecia...

A potem srebrzysty dźwięk trąbki — z wysoka i z daleka — mariacki hejnał zakołysał się i pobiegł w różowawe niebo.

Przez ulicę Wolską Franek zdążył ku deptakowi. Szła na niego fala chłodnego i czystego powietrza od Błoń, od Rudawy, od Sikornika. Niewyraźnie w lekkiej mgłę poranka rysował się Kopiec Kościuski.

Franek popędził teraz wzdłuż Rudawy, jednej z wielu krakowskich Rudaw, płynącej długością parku Jordana. Przez mały lasek — i nagle — zatrzymał się.

To tu.

Oleandry.

Zza drzew rzucił badawcze spojrzenia. Gromadkami schodzili się tam mężczyźni. Ojca i Janka jeszcze nie było. Wyrzedził ich, śpiesząc bocznymi ulicami.

Ruch gorączkowy trwał w Oleandrach — przebiegali Legioniści, zdejmowano karabiny z kozłów, padały jakieś słowa.

Franek musiał dobrze przyczać się, by

ojciec, lub Janek nie ujrzeli go — a właśnie nadeszli szybkim krokiem. Chętnieby padł ojcu w objęcia — jeszcze pożegnać się, jeszcze wyplakać ból swych siedmiu dopiero lat. Ale ojciec kazałby mu z pewnością wracać do domu. A Janek pewnie by się śmiał znowu.

Minęli go. Witali się z innymi, śpijącymi w tym samym kierunku.

Franek powoli podszedł bliżej — teraz, przywarły do drzewa, które go zasłaniało, widział dokładnie całą przestrzeń aż do zieleni parku Jordana.

Świt trwał coraz silniejszy nad Oleandrą, coraz pełniejszy. Ptaki śpiewały, zanosiły się od porannego hymnu, witającego ciepły, letni dzień. Na lekkim przewiewie poruszały się gałęzie drzew, szeleszcząc tajemniczo.

Franek raz tylko był w teatrze na bajce dla dzieci — i tak, jak wtedy, z palającą twarzą, z błyszczącymi oczyma, patrzył na to, co się rozgrywa na scenie, tak patrzył i teraz.

Znużenie mało przespanej nocy, wzruszenie ostatnich dni, gorycz w sercu, smutek — to wszystko było w nim, jakby jakaś mgła wewnętrzna, która przesłaniała mu realne zjawiska.

Więc patrzył — jakby to była scena, jakoby to był teatr jakiś przedziwny.

Jakby w półśnie widział postaci, słyszał dobiegające słowa. Zagrała trąbka — wszyscy drgnęli, drgnął i Franek i otrząsł się trochę z zamroczenia.

Metaliczny dźwięk rozrywał powietrze. Teraz dopiero ujrzął Franek, że tu i tam stali gromadkami jacyś ludzie, a sporo było wśród nich takich malców, jak on. I wszyscy patrzyli tak samo, jak on — i słuchali pobudki, wygrywanej na wojskowej trąbce...

I nagle padły słowa:

— Do szeregów!

Wszyscy gorączkowo ustawili się — karnie złamane czworoboki przywarły w milczeniu.

A wtedy stanął przed trwającymi w ordynku — On.

Franek nigdy Go nie widział. Znał Go tylko z opowiadania ojca. Ale poznał Go od razu.

Oczywiście — to On.

Stał przed frontem kompani w otoczeniu kilku.

Wszyscy patrzyli w Niego.

— Spocznij! — padła komenda.

A wtedy zaczął mówić.

— Żołnierze. Spotkał was zaszczyt bezmierny...

Franek nie rozumiał słów. Słuchał dźwięku tego głosu. To mówił Komendant.

Wszystko znowu przesunęło się jakby mgłą. Franek słyszał ten głos — Jego głos — a potem słyszał okrzyki Legionistów — a potem jeszcze widział że przygotowują się już — tak, już...

Rozległy się słowa komendy. Jednej, drugiej...

Runęły kroki.

Szli.

Nad Oleandrą wstawał dzień szóstej sierpnia 1914. roku.

Franek długo stał przywarły do drzewa. Pusto zrobiło się w lasu. Pusto dookoła. Z dała jakieś głosy jeszcze — miarowy krok marszu — jakieś słowa — potem sfrunęła piosenka...

Powoli przychodził Franek do świadomości. Tak, odeszli. Odeszli już do wojny za wolność Ojczyzny. Tak, mówił ojciec. By wolną była. By spadły więzy. By wielką była, całą i niepodległą.

Poszli — oni pierwsi.

Naprzód powoli, jakby nieświadomie, potem szybciej zaczął iść ich śladem.

Ale nogi ciążyły mu, jak z ołowiu. Tak, jak przykrym, nużącym śnie, gdy to chce się iść — a nie może. Powoli włókł za sobą cięższe, zmęczone kroki, mijając rozśpiewane ptakami drzewa.

Nie wiedział sam, kiedy wyszedł na zosę. W pyłe jej trwał jeszcze ślad tych, co tędy przed chwilą maszerowali. Zdało się nawet, że gdzieś z daleka, gdzieś górą płynie jeszcze echo piosenki żołnierskiej.

Nie widział mijających go ludzi, szedł przed siebie, coraz prędzej, coraz prędzej.

Uciekała spod jego nóg twarda droga. Zielone pola ginęły dokoła niego w zmęczonym spojrzeniu. Szedł echem piosenki żołnierskiej, szedł śladem żołnierskich butów, które tędy przeszły — tą zwykłą, twardą i zakurzoną drogą — tą zwykłą drogą, a jakże niezwykłą: drogą do wolności Polski.

Potem zaczął znowu biec, znowu, jeszcze, jeszcze, brakowało mu tchu, kłuło w piersiach.

I nagle zdawało mu się, że już ich dopedza. Że tam — na zakręcie — widzi ich szarą kolumnę.

— Weźcie mnie! — krzyknął. — Weźcie mnie z sobą! Ja też chcę! Ja też chcę iść z Komendantem!

Zachłysnął się tym krzykiem — i padł w bok drogi, w zieloną przystań trawy.

Nikt nie słyszał jego głosu, nikt nie widział małego ciała, upadającego na

drodcz w Królującym wczesnym dniu słonecznym.

Franek, zemdłał, ale w tym omdleniu wydało mu się, że ktoś idzie drogą, przez koleiny, przez kurz. Postać jakaś wyniosła a bliska, jakby królowa z bajki — idzie ku niemu. Przystaje, pochyla się — i czuje jej rękę.

— Wstań! — słyszy głos.

Wstaje, jest dokoła dziwnie — wspañiale i jasno. Stoi u stóp nieznaney postaci — nieznaney, a jednak tak bliskiej, tak swojej . . .

I słyszy słowa jej:

— Chłopcze! Dzisiaj poszli oni — a wśród nich z Komendantem ojciec twój i brat. Ale jutro, gdy dorosisz — i ty pójdiesz. I ciebie wezmą, ażebyś szedł dla mnie na front walki. I pójdiesz. Pójdiesz, jako orlą lwowskie, pójdiesz, jako chłopak śląski, czy wielkopolski, pójdiesz, jako ochotnik w gimnazjalnym

mundurze pod Warszawę. Teraz jeszcze nie czas na ciebie. Do domu wróć, do matki. Ale przyjdzie czas — i usłyszysz mój rozkaz!

Franek słuchał — a z ściśniętego gardła wyrwało mu się z trudem zapytanie:

— Ktoś ty?

Wymosła postać przesłoniła całą przestrzeń, do nieba wzrosła — ogarnęła wszystko. Aż znikła.

A Franek zrozumiiał.

To była Polska.

Wtedy przeceknął się z omdlenia. Z trudem wstał, otrzepał kurz z ubrania. Ostatnie spojrzenie rzucił w stronę, gdzie zniknęła, gdzie przeminięta żołnierska pionsenka — i zawrócił ku miastu.

Ujrzał lśniące w słońcu wieżycę, dachy Krakowa. I szepnął:

— Tak . . . I ja także stąd pójdę kiedyś — dla Ciebie, Polsko!

Witold Zechenter

Zofia Rontaler

# Jacek — Gazeciarz

Jakoś nie bardzo wiodło się Jackowi w ostatnich czasach. Nie był wcale, ale to wcale ze swego życia zadowolony. Wszystkie nieszczęścia zaczęły się od chwili, gdy zaczął chodzić do szkoły. Wcale nie dlatego, żeby Jackowi źle było w szkole, albo, żeby nie lubił się uczyć — nie, nawet przeciwnie: Jacek do szkoły chodził z prawdziwą radością, a uczył się bardzo pilnie. Tylko, że już w pierwszych dniach, po rozpoczęciu roku szkolnego matka powiedziała:

— Słuchaj Jacusiu, jesteś już duży — masz osiem lat. Już od roku powinienś chodzić do szkoły, tak się złożyło, że nie mogłeś — chorowałeś. Teraz, dziękować Bogu jesteś zdrow i silny. Chodzisz do szkoły, ale musisz też zacząć pracować. Wiesz, jak ojcu jest ciężko, jak mało zarabia. I woi starsi bracia już od dawna pracują więc i ty musisz — od jutra będziesz sprzedawał gazety. Wprost ze szkoły będziesz chodził po kuriery. Zawsze akurat zdążysz na popołudniowe wydanie.

No i Jacek zaczął sprzedawać gazety. Od początku mu nie szło. Był mały i słaby. Starsi i silniejsi chłopcy, zawsze

go ubiegali. Najpierw przy wydawaniu gazet w redakcjach — później przy sprzedaży. Nie potrafił krzyżeć tak głośno, nigdy nie wiedział, co trzeba wofać, co danego dnia najbardziej zainteresuje przechodniów. Czy katastrofa kolejowa, czy wyjazd pana ministra, czy też wojna chińska - japońska, czy też budowa nowego mostu.

Toteż bardzo mało gazet sprzedawał Jacek, wracał do domu smutny i zmęczony, matka tajała go, że tak mało przyniósł pieniędzy.

— Wojtek z przeciwka zarobił trzy razy tyle — mówiła dlaczego jesteś takim niedołęgą.

— Może się jeszcze nauczy odzywał się łagodnie ojciec — przecież jeszcze mały i nie ma praktyki.

Ale Jacus nie mógł się jakoś nauczyć. Minęła jesień i zima — nadeszło lato.

— No teraz masz cały dzień — możesz sprzedawać i poranne pisma — powiedziała matka — może ci lepiej pójdzie.

Ale Jackowi, jak nie szło, tak nie szło. I do tego spotykały go same nieszczę-

ścia. Raz jeden ze starszych, niedobrych kolegów pchnął go tak silnie, że wszystkie gazety wysypały się w błoto. Innym znowu razem najechał nań rower — wprawdzie nie się Jackowi nie stało, tylko troszkę stłukł sobie kolano, ale gazety znowu się rozsypały i znowu zamiast zarobić i przynieść do domu pieniądze — jeszcze musiał wziąć od matki, aby pokryć stratę.

Matka już się nawet nie gniewała, wiedziała, że Jacek nie nadaje się do sprzedawania gazet. Ale jakąż inną miała mu znaleźć pracę? A w domu było coraz gorzej. Ojciec stracił zajęcie w fabryce i pracował tylko od czasu do czasu. Na obiad to były teraz same kartofle, często nieokraszone nawet. Jacek musiał pracować. Starsi gazeciarze śmieli się z niego. Nazywali go żebrakiem, bo nie krzyczał, tylko cichym głosem prosił, aby kupiono od niego gazetę.

Pewnego dnia jakaś piękna pani, widząc smutnego, małego chłopca, który cichutko proponował: „Kurier Czerwony”, „Warszawski”, „A.B.C.”, „Robotnik” — dała mu dwa złote. Gdy Jacek chciał jej dać gazetę i resztę z dwóch złotych — powiedziała:

— Nie chłopcze — nic nie chcę od ciebie — kup sobie coś za te pieniądze.

Jacek zaczerwienił się po same uszy i oddając pięknej pani srebrną monetę powiedział cicho:

— Dziękuję pani. — Ja naprawdę nie umiem sprzedawać gazet, ale żebrakiem nie jestem.

Pani wzięła z powrotem pieniądze — była jakby trochę zawstydzona.

— Myślałam, że mi kiedy oddasz — bardzo mi przykro — wobec tego sprzedaj mi cztery gazety.

Starsi bracia Jacka bardzo się z niego śmieli, kiedy wieczorem w domu opowiedział swoją przygodę z nieznaną panią.

— Głupi jesteś — trzeba było wziąć, co tam dla takiej pani znaczy dwa złote...

Ale ojciec przerwał surowo:

— Dobrze zrobił — wyrosnie na uczciwego człowieka. Jeszcze mu to Bóg wynagrodzi.

Nazajutrz w południe Jacek znowu spotkał tę samą panią. — Przyszłam spec-

jalnie, aby się z tobą zobaczyć — chłopcze — mam dla ciebie zajęcie. Mój mąż potrzebuje do siebie do fabryki małego chłopca, któryby roznosił paczki po mieście. Czasami ma również pomagać woznemu w sprzątaniu fabryki. Przyjdź dziś po południu pod tym adresem — podała Jackowi kartkę z wypisanym nazwiskiem i ulicą.

I od następnego ranka Jacek zaczął nową pracę. Wkrótce znaleziono pracę dla ojca w tej samej fabryce.

Bracia już nie śmieli się z małego Jacka. Dzięki niemu całej rodzinie było teraz lepiej.

A z pracy Jacka bardzo byli w fabryce zadowoleni. Właśnie dlatego, że był cichy i greczny, bardzo pilny i spokojny. A gdy się rozpoczął rok szkolny piękna pani obiecała znaleźć ojcu jeszcze lepszą pracę, aby Jacek nie potrzebował pracować i aby mógł cały czas poświęcić nauce. Ktoby przypuszczał, że tak się całej rodzinie życie odmieni na lepsze dzięki małtemu cichemu Jackowi, który nie potrafił sprzedawać gazet.



Jacek

# O słoniu – leniuszku, który nazywał się Toto



1.

## Toto nie chce się uczyć

W słonecznym, ślicznym kraju słoni  
Słonius-leniuszek sobie żył.  
Od wszelkiej pracy zawsze stronił —  
nie — tylko jadłby wciąż i pił  
i wciąż do słonka grzał swój  
brzuszek —

Taki to był Toto — leniuszek!  
Ach, jak się gniewa mama za to —  
ale Słoniusia nic nie wzruszy,  
nawet, gdy jego dobry tato  
ze złością szarpie go za uszy.  
Tylko odpowiedź brzmiał leniuszka:  
„Na to mam takie duże uszka”.  
Mieszkali sobie w ładnej willi  
z ogrodem pełnym dziwnych drzew —  
kiedy się Słonko do snu się chyli,  
Małpki na palmie słychać śpiew.  
I Słonius chodzi po ogrodzie,  
bo lubi marzyć o zachodzie.  
Raz mówi tato: „Dość mam tego!  
jesteś już dosyć dużym słoniem,  
byś się lenistwa wyrzbił złego  
i raz już przestał myśleć o nim!  
Zamiast się po ogrodzie włóczyć —  
rozpoczniesz się od jutra uczyć!”  
Nazajutrz rano mama siadła  
aby go uczyć A-B-C.  
Śliczna nauka abecadła —  
ale, czy Słonius tego chce?  
Nie! zamiast pisać A i N.  
na poduszeczce zapadł w sen!

2.

## To Jako przestraszył się myszki

Raz do spiżarni się cichaczem  
na konfiturki Toto wkradł —

nagle wybuchnął głośnym płaczem  
i w wiadro pełne mleczka siadł —  
myszki przestraszył się malutkiej!  
Takie to są łakomstwa skutki:  
A tu jak z półki wszystko gruchnie,  
lecą słoiki, lecą gruszki:  
A mama biegnie już przez kuchnię:  
„Ach, pewnieś potłukł sobie nóżki!”  
„Myszka mi główkę weszła nosem!  
Tuli go czule dobra mama,  
mama najlepsza z Słoni — mam:  
„Patrz, tam w kąciuku myszki jam,  
A Słonius płacze w swej niedoli:  
„Ach, jakże mnie ogonek boli!”  
Na słonko poszedł guzy leczyć —  
to było ciepłe, miłe lato...  
Niedobry Słonius! Trudno przeczyć!  
znów się na niego gniewa tato,  
a on się najadł wstydu, strachu,  
aż wróble śmieją się na dachu!  
Taki to Słonius był niegrzeczny,  
dobrych rodziców synek zły!  
Dzionek był jasny i słoneczny —  
Toto pod palmą roni łzy —  
a Małpka, która wszystko wie,  
jeszcze z Słoniusia śmieje się!

## Pogoda

Złote południe,  
Gwiezdne mam noce,  
Przed domem studnię.  
W sadzie owoce.  
Jaskółkę w strzesze,  
A pokój w izbie...  
Wędrowców cieszę  
Dzbanem na przyźbie.  
W izbie u góry  
Pan Miłosierny...  
W proggu pies, który  
Został mi wierny...  
Ach żyć w otusze  
I tak wesola  
Mógłbym mieć duszę,  
Jak moje czoło,  
Ale mam zwykłą  
Skrzypkę co nuci  
O tym co znikło,  
Co już nie wróci...